

# Co nowego, koteczko?

Napisała: Elwira Kott

Ilustrował: Julian Bohdanowicz

Wracaliśmy do pracy z mieszanymi uczuciami. Czuliśmy się trochę jak konspiratorzy, po trosze jak zwykli durnie, no a przede wszystkim – było nam po prostu żal. Z tego wszystkiego najmniej przejmowaliśmy się samowolnym, do tego zbiorowym (!) porzuceniem miejsca pracy, i to już prawie na dwie godziny. Diabli wiedzą, jak minęło tyle czasu... Ale i tak nadal nam się nie spieszyło; wlekliśmy się noga za nogą i ciągle jeszcze byliśmy na terenie uniwersyteckiego parku. Kluczyliśmy bezwiednie alejkami, ociągaliśmy się, toczyliśmy jakieś nie związane z niczym pogaduszki, aż przestaliśmy wreszcie udawać, że wracamy do pracy i całą gromadą zwaliliśmy się na dwóch naprzeciw siebie stojących ławkach.

Było dość przyjemnie; wczesna jesień, a więc i pełne widmo barw – od ciemnej zieleni, poprzez pomarańcz i czerwień, aż do intensywnego brązu, niebo prawie bezchmurne, temperatura w normie, a wiatr, choć chłodnawy, to jakoś przyjaźnie orzeźwiający... Długo milczeliśmy...

– Tak... – ciężko westchnął Robert, nasz główny konserwator. – Teraz nic, tylko o stypie pomyśleć...

Wzdrygnęliśmy się wszyscy, a najwrażliwszą z nas – Lidką – zatrzęsło dosłownie.

– Przestań! – wychrypiała z pasją. – Te twoje kretyńskie pomysły to mnie kiedys...

– Wiem, że do grobu wpędzą – przerwał jej z pogodną miną. – Ale niby czemu nie? Nie pamiętacie wtedy, po pogrzebie Wiktka...

Tym skojarzeniem dobił nas ostatecznie. Lidka już miała wybuchnąć naprawdę, i to tak, jak tylko ona potrafi, gdy sytuację rozładował – tyleż bezwiednie, co skutecznie – nasz zagraniczny stażysta:

– Nie rozumieć! – rzeczywiście patrzył na nas, jak na pantomimę. – Co to stypa? – spytał.

W czasie poświęconym na wyjaśnienie w kilku językach (znał słabo rosyjski, angielski i niemiecki; a my też nie lepiej) Istvanowi subtelności lingwistycznych i obyczajowo-kulturowych Lidce przeszło jakby i już znacznie spokojniej traktowała kolejne pomysły, nie tylko Roberta. Nawet i ja sam, słyszący w Centrum ze swych ciągów literackich, co implikuje niejakie uduchowienie i wrażliwość, zżymając się zrazu nad pomysłem Roberta i uznając go za co najmniej niesmaczny, musiałem w pewnej chwili przyznać, iż będzie mi on bardzo na rękę. Przecież w trakcie ewentualnej imprezy (bo nie nazwiemy przecież tego stypą) nastroje i humory będą się stopniowo poprawiać, aż nadejdzie moment, w którym będę mógł przedstawić wreszcie swoją hipotezę tego wszystkiego. Bo żeby odniosła ona skutek musi być podana mimochodem, bez żadnej łopatologii; w lekkiej, żartobliwej nawet formie. Ma wtedy szanse zapaść w umysły i drażyć je później podświadomie. A dając to proste wytłumaczenie wszystkich faktów, powinna – niezależnie od stopnia jej słuszności – rozładować nieco tę nienaturalną, mistycyzmem tchnącą atmosferę, jaka panuje u nas od prawie roku...

Poparłem zatem, najogólniej jak potrafiłem, pomysł Roberta. Cała reszta także w końcu uznała, że może nie aż stypę, ale coś jednak trzeba by zrobić. Zwłaszcza, że i okoliczności „towarzyszące” także za tym przemawiały; blisko już było do końca pierwszej zmiany, a mieszkający o krok od Uniwersytetu Marek ciągle jeszcze pozostawał słomianym wdowcem...

Wyboru wielkiego nie było. Główny inicjator udał się wraz z Januszem do stosownego sklepu, dziewczyny do bufetu, a pozostali – z nisko zwieszonymi głowami – do Centrum. Wbrew naszym obawom szef ani słowem nie skomentował naszej nieobecności.

Właściwie to nie wiadomo, kto przyniósł kotkę. Grono podejrzanych – jak wykazało wstępne dochodzenie – śmiało było można ograniczyć do trzech, góra czterech osób, ale wszystkie one wyparły się tego równie zdecydowanie. Trudno im się zresztą dziwić...

Żywe zwierzę, a już szczególnie kot, jest w jakimkolwiek, najporządniejszym nawet Ośrodku Obliczeniowym skandalem, rzeczą wołającą o pomstę do nieba, a w ogóle niewyobrażalnym przekroczeniem wszelkich przepisów – i tych wewnętrznych, i tych narzuconych z góry. I to z wielu względów. Przede wszystkim sprzęt elektroniczny, a już szczególnie informatyczny, jest jak niemowlę urodzone przedwcześnie – wymaga sterylnych wręcz warunków. A zwierzę? Wiadomo, przynosi brud na łapach i sierści, linieje, miewa pchły, no i paskudzi po kątach. A koty? Koty są dodatkowo obciążone zarzutem ostrzeżenia sobie pazurów o różne sprzęty, tudzież zwyczajem zabawiania się luźno zwieszonymi obiektami linowymi, takimi jak taśmy czy przewody, których pełno w Centrum. Ostatni, acz wcale niebagatelny zarzut (abstrahując od jego irracjonalnego, niczym nie udokumentowanego podłoża), jaki postawić można kotu, to fakt jego bezpośredniego oddziaływania na pracę systemów elektronicznych. Koty, jak powszechnie wiadomo (i co wykorzystuje się w ramach przeróżnych paranauk), elektryzują się w wysokim stopniu...

Tak, było to straszliwe wykroczenie, zwłaszcza u nas, w Uniwersyteckim Centrum Przetwarzania Danych, najmłodszym, a więc tym troskliwszą opieką otoczonym dziecku naszej sędziwej Alma Mater. Byliśmy wszak, dzięki zapobiegliwości co obrotniejszych przedstawicieli jej kierownictwa, wyposażeni w najnowocześniejszy w kraju, importowany komputer z przebogatym zestawem urządzeń peryferyjnych. Sterylnych warunków jego pracy przestrzegano surowo i konsekwentnie, głównie ze względu na zapłacone zań pieniądze. O ich kwocie najlepiej świadczy fakt, iż nasi pobratymcy, przy mierzając się do takiego samego zakupu, wysłali najpierw stażystę do nas, właśnie Istvana, aby zorientował się, jak to wszystko wygląda. Nie nam zresztą wma-

wiać, że to był stażysta. Owszem, zgrywał głupiego, ale zdarzało mu się czasem bezwiednie zdradzić własne kompetencje, które umiejscawialiśmy gdzieś na poziomie doktora habilitowanego. Udawaliśmy jednak, że niczego nie dostrzegamy i traktowaliśmy go z familiarną wyższością. Wiedzieliśmy jednak, iż ma on dokonać oceny jakości rzeczywistego systemu, to znaczy takiego, który pracuje realnie, a nie takiego, jaki obiecuje producent wma-wiający złote góry każdemu naiwnemu. Wiadomo, producent u siebie na miejscu skołuje pokazami wybranego, wielokrotnie testowanego egzemplarza systemu, zgrabnie ominie wszelkie wątpliwości, nie mówiąc już, że spróbuje (najczęściej z powodzeniem) wpłynąć na przedstawiciela potencjalnego nabywcy środkami „osobistej perswazji”. U nas natomiast rzecz całą można było ocenić obiektywnie, obserwując normalną pracę systemu.

Okazuje się, że bardzo dobrze myśleli. Nasz system był równie znakomity (szybkość, pojemność, możliwości), co i nazbyt wrażliwy na przeróżne warunki; brutalnie zaś mówiąc – psuł się stanowczo zbyt często. Przebąkiwało się nawet – ale tylko szeptem, na boku i w zaufanym gronie – iż nie jest on wart „swoich” pieniędzy. W dodatku, ze względu na jego złożoność, lokalizacja i usuwanie uszkodzeń były procesami żmudnymi i czasochłonnymi, co dodatkowo przedłużało przestoje. Zwierchność zaś w ogóle nie przyjmowała do wiadomości tych uwarunkowań. Każdy przestój był dla niej kamieniem obrazy, a wraz ze wzrostem ich ilości zaczęto nas traktować w najlepszym razie jako niedorosłych do takiego systemu, w najgorszym – jako zwykłych sabotażystów. Mogła to być jedna z przyczyn krytycznego ataku serca Witka, poprzednika Roberta na stanowisku kierownika Sekcji Obsługi Technicznej.

Napięcie i niepewność zatem panowały w owym czasie, a wielu z nas z góry rozglądało się za spokojniejszym etatem. Problemów mieliśmy dosyć i bez kota...

★ ★ ★

Ziewając i przeciągając się rozkosznie, wyszła zza szafy bloku zasilania, gdzie

musiała w miłym ciepłe spać od niejakiego czasu, a najprawdopodobniej od początku naszej zmiany. Gdyby piorun strzelił w pulpit operatora wrażenie nie byłoby większe. Jak było nas wówczas w sali sześcioro, tak wszyscy skamienieliśmy w bezruchu. Tylko Ewa zdołała wydać z siebie nieartykułowany okrzyk, którego powód i sens mieliśmy poznać znacznie później.

Mogła mieć wówczas ze dwa miesiące; maleńki kociak po prostu. Nie wiedzieliśmy wtedy, że jest kotką, więcej – przez kilka miesięcy uważaliśmy ją za stuprocentowego samca (nie bez wpływu męskiego rodzaju nazwy gatunkowej). A i później płęć określiliśmy bardziej na podstawie cech „charakterologicznych” niż anatomicznych. Cóż, wszyscy wychowaliśmy się w mieście, z przyrodą byliśmy nieobcy, nauki reprezentowaliśmy ściśle...

Była biało-czarna, pół na pół, czyściutka i niewątpliwie prześliczna, co musieli przyznać nawet najzagorzalsi przeciwnicy kotów. Nawet ten snob Rafał, który będąc na szkoleniu w Anglii odnosił rzekomo pewne sukcesy na wyścigach psów, stwierdził, że jest to akceptowany na wyścigach typ kota.

Wyszła zza szafy zasilacza, usiadła i zaczęła wpatrywać się w nas z niewinną miną...

Gdy tylko oprzytomnieliśmy i udało nam się przemówić, przez kilka minut odbywały się wariacje na dwa tylko tematy: „kto jest złoczyńcą?” i „natychmiast wyrzucić!”. Drugi problem był już bliski załatwienia, Janusz zmierzał z nią do drzwi, ale Lidka wyraziła sprzeciw:

– Poczekajcie, trzeba najpierw nakarmić biedactwo.

Po mleko do bufetu poszła Ewa i po drodze najwyraźniej coś skojarzyła w swoim rozumku, tak że gdy obserwowaliśmy jak kotka, bardziej z obowiązku niż ochoty, zabiera się do posiłku (mimo nazwania jej biedactwem, kształtem przypominała kulkę), oznajmiła nam nagle:

– On powinien tu zostać. Przecież to zrządzenie losu! Pamiętacie co było przedwczoraj?

Rzeczywiście, to także był nie mniejszy skandal. Ni stąd, ni zowąd zaległy się myszy! No nie, oczywiście, że nie na terenie sa-

meo Centrum, ale tuż pod – w biegnących pod podłogami kanałach, którymi prowadzone są wszelkie przewody energetyczne i teletransmisyjne. I akurat dwa dni wcześniej Robertowi coś tam nie zgadzało się w zasilaniu, toteż dla wszelkiej pewności polecił Januszowi, swej prawej ręce, zajrzeć i tam.

Myszki były małe i zabiedzone, a splezione światłem szybko pouciekały. Pech jednak chciał, iż odbyło się to tuż przed przerwą śniadaniową, podczas której dziewczęta zwykły się zbierać na plotki przy pulpicie dyżurnej operatorki. I chociaż nazywamy to zwyczajowo „sabatem czarownic”, nic w tym nadzwyczajnego. Ale w ten sposób kilka dziewczyn było świadkami incydentu. Rzecz jasna, narobiły pisku, a Ewa – korzystając z okazji zmanifestowania całej swej kobiecości – wskoczyła w udanym przerażeniu na najwyższe będące w jej zasięgu miejsce, czyli na szafkę samej jednostki centralnej, która dziwnym trafem jakoś to przetrzymała. Krzycząc i podskakując tam, prezentowała się wspaniale w całej krasie swych 180 cm i, na oko, 90 kg wagi. Kto wie, czy nie znalazłaby sobie w tym momencie męża, gdyby tylko zobaczył ją ktoś nie znający bliżej jej charakteru...

Teraz miała rację o tyle, iż rzeczywiście sekwencja zdarzeń była przynajmniej zastanawiająca; najpierw nie wiedzieć skąd myszy, a zaraz po nich kot. Człowiek przesądny miałby wiele do myślenia...

W każdym razie najpierw interwencja Lidki, a później skojarzenie Ewy odroczyły eksmisję. Zaczęły się rozmowy, spekulacje, szukanie winowajcy, przypomniano parę historii na podobne tematy, opowiedziano kilka stosownych do okoliczności kawałów i tak jakoś zleciała reszta pierwszej zmiany. Robert, najwyższy funkcją spośród wtajemniczonych w obecność kota na naszym terenie, podczas przekazywania dyżuru drugiej zmianie konserwatorów, zlecił im załatwienie problemu i to radykalnie. Niestety, tamtym ani w głowie to było. Druga zmiana jest znacznie spokojniejsza (zwierzchność rzadko zagłądała) i tym samym nudniejsza, toteż obecność kota potraktowano jako miłe urozmaicenie.

Gdy przyszedliśmy rano, kotka była najwyraźniej zadomowiona zarówno w sali systemu, jak i przyległych pomieszczeniach. Oczywiście, wszyscy byli święcie oburzeni, zdumieni i zaskoczeni faktem jej przedłużającej się obecności, ale okazało się również, iż każdy czuł się w obowiązku przynieść jej coś do jedzenia! I nie można się było tłumaczyć, że to pozostałości z wczorajszego obiadu, czy resztki śniadania przyniesione dla siebie. Nie, było to zdecydowanie kocie jedzenie – kawałeczki surowego mięsa lub takiejż ryby. I tak to już poszło... Niby jeszcze przez kilka dni napomykało się o jej wyrzuceniu, ale już nikt nie traktował tego serio. Ostatecznej legalizacji dokonał Łukasz, główny specjalista od oprogramowania systemu.

– A niechaj sobie tutaj będzie. Co najwyżej szybciej nas stąd wypieprzą. I dobrze – stwierdził i zakończył tym samym wszelkie dyskusje. Kotka została zaakceptowana.

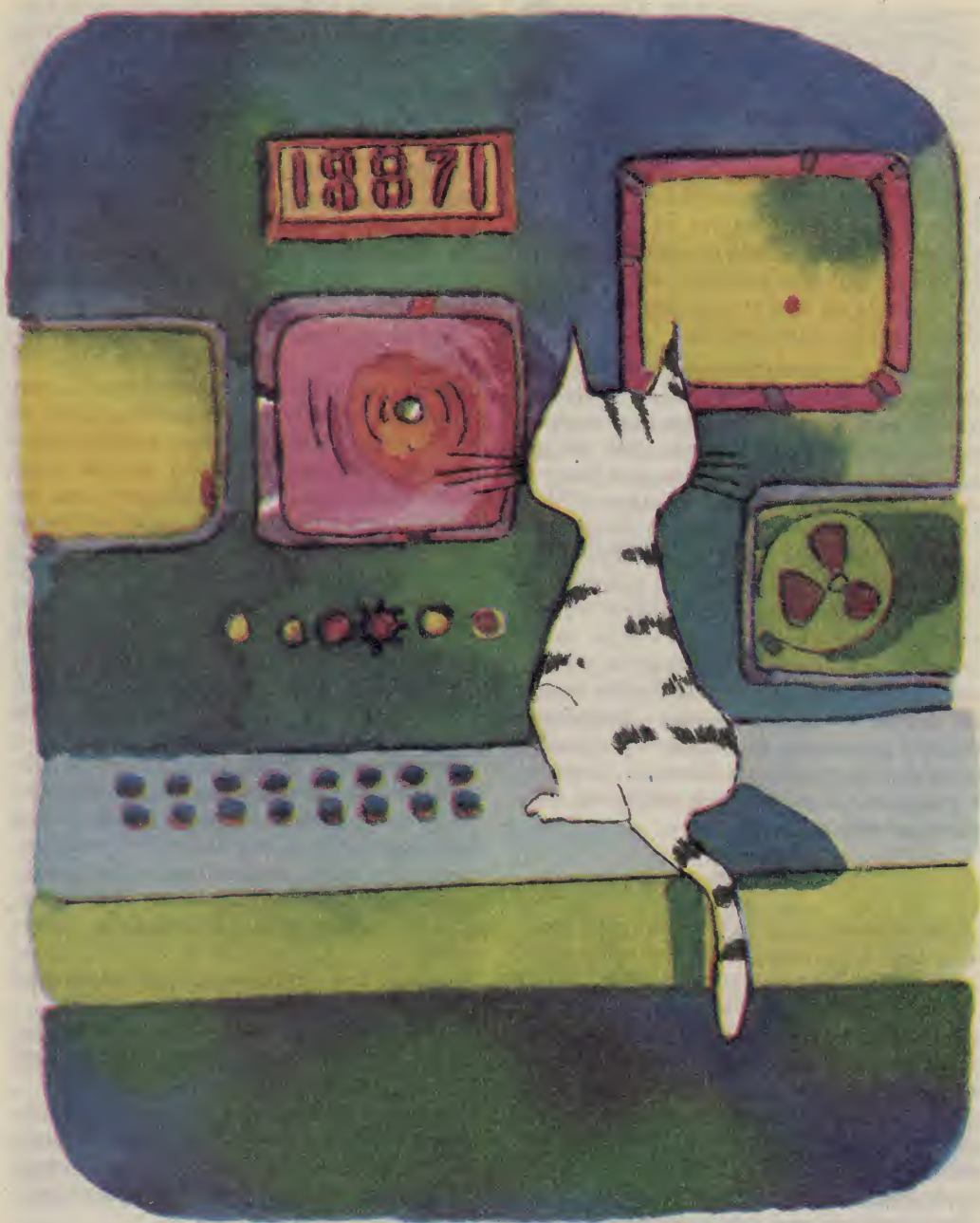
Jeszcze przez wiele dni mieliśmy obawy co do zdania w tej kwestii szefa Centrum i na wszelki wypadek staraliśmy się ukrywać ją przed nim. Jednak szybko zorientowaliśmy się, iż szef udaje tylko, że nie dostrzega niczego, a uspokoił się ostatecznie, gdy Janusz nakrył go któregoś dnia na drapaniu naszej pupilki za uszami, na co ta odwzajemniała mu się wcale przyjaznym mrużeniem. Pozostały zatem tylko zwykłe problemy związane z każdym kotem.

Najmniej kłopotów było z wyżywieniem, a jeżeli już, to tylko z ewentualnym jej przekarmieniem. Pod tym przynajmniej względem wszyscy poczuli się do obowiązku, który szybko przekształcił się w niezdrową rywalizację: czyje pożywienie wybierze. Zaczęła więc przebierać, grymasić... Surowy, byle tylko świeży dorsz szczególnie przypadł jej do gustu. Niestety, jej bardziej wysublimowanych doznań smakowych nie byliśmy w stanie zbadać, gdyż nie bardzo było nas stać na węgorza czy łososia.

Gorsza sprawa była ze skutkami procesów trawiennych. Rzecz jasna, mowy być nawet nie mogło o jakiegokolwiek skrzynce z piaskiem. Wyobrażam sobie reakcję dy-

rektora administracyjnego Uniwersytetu na jej widok! Szczęśliwie nasze Centrum zajmuje najwyższą kondygnację głównego gmachu uczelni. Jest to bardzo stary budynek, a raczej cały kompleks dobudowywanych na przestrzeni dobrych dwustu lat i połączonych ze sobą budynków. Przez szerokie gzymsy za naszymi oknami można swobodnie wydstać się na zespół ich dachów, stanowiący istny labirynt przeróżnych zakamarków. Zbyszek, który kiedyś montował tam antenę i przy okazji omal nie zabił, twierdził, iż miejscami można tam nawet napotkać trawę, nie wspominając już o piasku i mchu. Uznaliśmy więc, że kotka na pewno znajdzie tam stosowne miejsce dla siebie, toteż od samego początku, po każdorazowym „zbeszczeszczeniu” terenu Centrum, bezceremonialnie wyrzucaliśmy ją za okno. Nauczyła się szybko – już po tygodniu oznajmiała swoje potrzeby głośnym miauczeniem pod oknem. Przy okazji musiała urządzać sobie dłuższe wyprawy lub sypiać tam na słońcu, gdyż pobyt jej na dachu przedłużał się nierzadko do kilku godzin.

Czuła się swobodnie na terenie całego Centrum, ale najchętniej przebywała w sali gdzie znajdował się nasz supersystem oraz w przyległych doń pomieszczeniach obsługi. Sypiała najchętniej na bloku zasilania; po prostu było tam najcieplej. W ogóle czuła się u nas bardzo swobodnie, toteż pełni obaw byliśmy o plastikowe, tudzież drewnopodobne okładziny zewnętrzne poszczególnych podzespołów systemu. Zarówno nam, jak i zapewne systemowi było to obojętne, ale niestety jako Centrum podlegaliśmy dyrekcji administracyjnej, a ta zwykła oceniać funkcjonowanie podległych sobie jednostek na podstawie cech zewnętrznych, głównie porządku oraz dbałości o sprzęt, wymaganej wprost proporcjonalnie do jego wartości. W ten sposób każde, najmniejsze nawet zadrapanie mogło mieć dla nas nieobliczalne konsekwencje. Pomysł obciążenia, czy chociażby tylko przycięcia jej pazurów z miejsca został odrzucony, jako przejaw barbarzyństwa, innych nie mieliśmy, nie bardzo więc wzięliśmy co począć z tym fantem. Stały, bezpośredni nadzór nie wchodził raczej w grę... Kotka musiała najwyraźniej, jeśli nie podzielać, to przy-



najmniej rozumieć nasze obawy, gdyż za jedyny obiekt ostrzeżenia pazurów wybrała sobie wyściełany fotel operatora. Odechnęliśmy z ulgą...

Z tym fotelem to też była cała historia. Był jedynym sprzętem w sali głównej, jaki nie został zakupiony wraz z całym wyposażeniem systemu. Dość rażąco kontra-

stował pod względem estetyki ze swoim importowanym otoczeniem. Co tu zresztą mówić; był stary, obdarty i wyszmelcowany, posiadał jednak wartość nieomal historyczną. „Przeżył” dwie poprzednie maszyny cyfrowe, zamierzonych już generacji oraz kilku kierowników Centrum, które aż do ostatniego zakupu nazywało się

prozaicznie Uniwersyteckim Ośrodkiem Obliczeniowym. Zawsze stał przed pulpitem dyżurnego operatora, a ci przywiązywali się do niego wręcz uczuciowo i słyszeć nawet nie chcieli o jego usunięciu czy wymianie na nowy, funkcjonalny, skórą pokryty fotel obrotowy, co surowo polecano w protokołach przeróżnych inspekcji. Wydawało się, iż przetrwa on wszystko i wszystkich, ale z chwilą pojawienia się kotki zawisł nad tym poważny znak zapytania. Znęcała się nad nim systematycznie, z upodobaniem, wręcz pasją...

Zgodnie z przewidywaniami i obawami, ulubionym obiektem jej zabaw stały się taśmy perforowane zalegające stoły i biurka, szczególnie programistów obojga „obrzędów” (to znaczy piszących programy systemu lub programy użytkowe). Wystarczył tylko niewielki, luźno zwieszony fragment taśmy, aby po chwili stawał się on bezładnym kłębem papieru z pomrukiem kotką pośrodku. Każdą taśmę traktowała, jeśli nie za osobistego wroga, to za rzucone jej wyzwanie. Wpłynęło to na niej jakie zwiększenie porządku. Ważne taśmy nie wałały się już bezpańsko i bezładnie, ale były porządnie pozwijane i poukładane na swoich miejscach. Niestety, pozostałe rzucono z rozmysłem w stanie co najmniej prowokującym...

★ ★ ★

Nie wiadomo czy był to w ogóle pierwszy tego typu przypadek, czy tylko pierwszy, który zauważyliście...

Zaraz po włączeniu systemu kotka zaczęła jakoś dziwnie kręcić się koło drukarki wierszowej, sąsiedztwa której unikała zazwyczaj, zapewne ze względu na robiony przez nią hałas. A teraz na krok jej nie odstępowała, krążąc wokół i pomiaukując nerwowo. No i po kilku minutach charakterystyczny śwąd rozgrzanej gumy oznajmił zatarcie się paska klinowego napędzającego bęben drukarki. Awaria dość rzadka, ale najnormalniejsza pod słońcem. Tylko ta kotka... Co mogła mieć z tym wspólnego? Zapewne nic, ale i tak nikt nie próbował skomentować tego ani słowem. Łatwo było u nas narazić się na kpiny.

Po kilku dniach rzecz cała powtórzyła się nieomal dokładnie. Nerwowe zachowa-

nie się kotki koło jednostki centralnej i po jakiejś chwili spalił się jeden ze scalonych rejestrów arytmometru. I znów jakby nic się nie stało. Cisza... Jednak wszyscy zaczęli dokładnie obserwować...

Kolejne podobne wydarzenia także nie przełamały milczenia, dał się natomiast odczuć lekki powiew mistyki. Widać było, że wszyscy aż się pałą do dyskusji, ale nikt nie chciał jako pierwszy wystawić się na odstrzał. Zrobił to – zupełnie zresztą nieświadomie – Zbyszek.

Był to ósmy albo dziewiąty zaobserwowany przez nas przypadek tego typu. Obiektem zainteresowania kotki była tym razem pamięć dyskowa, „podlegająca” w razie konieczności naprawy właśnie Zbyszskowi. Ten zaś odczuwał akurat tego dnia szczególną niechęć już nawet nie do jakiegokolwiek pracy, co do najmniejszego poruszenia się, związaną z uroczystością rodzinną, w jakiej uczestniczył poprzedniego wieczora. Toteż już pierwsze kroki kotki koło pamięci dyskowej skwitował zboliałym szeptem:

– Tu cię teraz przyniosło? Przecież wiesz, że dzisiaj nie mogę... Idź sobie gdzie indziej!

Powiedział to cicho, ale i tak Lidkę, która weszła do sali chwilę wcześniej, dosłownie zamurowało. Cała nasza reszta, która także kojarzyła słowa Zbyszka z pojawieniem się Lidki, wybuchnęła śmiechem. Poczerwieniała Lidka potrząsnęła energicznie siedzącym bezwładnie Zbyszkiem.

– Może byś wytłumaczył dokładnie o co ci chodzi? – wyszczała.

– Puść! Nie widzisz? – wskazał w kierunku dysku. – Zaraz będę miał robotę. Ale dlaczego akurat dzisiaj? – spytał.

Nieporozumienie wyjaśniło się, wzbudzając kolejne salwy śmiechu. Przy okazji jednak, wypadek ten z miejsca przełamał znowu milczenia. Zaczęliśmy wreszcie rozmawiać na ten temat:

– I co się stanie? – zastanawiał się ktoś na głos.

– Wiadomo, że dysk. Na pewno zasilanie...

– Od trzech tygodni ją obserwuję (pleć była już wtedy prawie pewna).

– Nie ty jeden. No, Zbyszek, leć po narzędzia!

- A pamiętacie, jak to było z perforatorem?

- To jeszcze nic. A mój monitor?

- Ile czasu minęło? - zainteresowałem się.

- Sześć i pół minuty - unisono odpowiedziało kilka głosów. Prawie każdy spojrzął na zegarek.

Po kolejnych trzech minutach dysk stał. Zbyszek był w stanie stwierdzić jedynie przepalenie się bezpieczników. Mimo kategorycznych ponagleń Roberta, stanowczo odmówił dalszych badań. Uszło mu to na razie na sucho, gdyż i tak zajęliśmy się wszyscy nie techniczną, a filozoficzną stroną zagadnienia...

Okazało się, że najpełniejszą i najbardziej spójną teorię ma przygotowaną Mariusz, służbowo czołowy programista, prywatnie zaś - radiesteta, bioenergoterapeuta i w ogóle sława i znakomitość z zakresu wszelkich tego typu wszechnauk. Podobno oba aspekty swej działalności łączył dość harmonijnie; mówiło się w każdym razie, że bez różdżki nie siada do programowania.

Rzecz była, według niego, dziecinnie prosta... Otóż kot emituje bio-jakieś tam - pole o szczególnie dużym natężeniu. Jego - wspomniane już wcześniej - elektryzowanie się najlepiej o tym świadczy. No a dalej - wiadomo: emitowane pole interferuje z polem elektromagnetycznym różnych urządzeń, zakłóca ich pracę i w efekcie prowadzi do uszkodzenia. Oczywiście Mariusz poparł to wcale naukowym wywodem, którego, niestety - głównie ze względu na nieobyćcie z terminologią - nie jestem w stanie przytoczyć. Ofiarował się także natychmiast skoczyć po „przyrządy badawcze” i dokonać stosownych pomiarów...

W pierwszej chwili wyglądało, iż jego hipoteza ma szansę trafić do przekonania części z nas. Szczególnie pociągająco wyglądała ona dla ekipy technicznej, na której psy wieszano do tej pory za wszystko. Już widziałem te porozumiewawcze spojrzania... Na szczęście Mariusz znany był powszechnie jako wróg kotów, toteż szybko został zakrzyczany, szczególnie przez dziewczyny. Ale i bez tego znaleźliśmy argumenty w obronie kotki, która w trakcie całej tej - żywotnej dla niej, jakby nie było

- dyskusji najspokojniej spała na kolanach, kogóż by jak nie Zbyszka, także błogo podrzemującego. Bywały bowiem awarie, podczas których kotki nie było w sali głównej; przebywała za oknem lub w innym pomieszczeniu. Owszem, po powrocie krążyła niespokojnie i miauczała koło miejsca awarii, ale już podczas kontrolnej pracy inkryminowanego urzędnika w trakcie lokalizacji uszkodzenia.

Jako pewnik mogliśmy zatem przyjąć tylko jedno: kotka wie o aktualnej awarii. To jeszcze pół biedy - krzątanie się obsługi technicznej najlepiej ją wskazywało. Wszystko zdawało się jednak wskazywać, że wie ona także o tym, co ma ulec uszkodzeniu, i to z jakimś dziesięciominutowym wyprzedzeniem. Jedyna rozsądna hipoteza, jaką zdołaliśmy wypracować w trakcie bez mała trzygodzinnej dyskusji bazowała na koncepcji Janusza. Miała ona także naturę polową. Możliwe jest, jego zdaniem, iż kotka potrafi w jakiś sposób odbierać pole elektromagnetyczne, a przynajmniej odczuwać poważniejsze jego zmiany. A takie muszą przecież występować podczas uszkodzeń. A że z wyprzedzeniem? Po prostu, ona odczuwa już pierwsze symptomy awarii, kiedy to urządzenie pracuje jeszcze na pozór normalnie, ale jego pole elektromagnetyczne znacznie już odbiega od normy...

Takie wytłumaczenie zadowoliło większość obecnych, ale jeszcze nie wszystkich. Skąd raptem jakiś dodatkowy zmysł u kota? Zaczęto więc rozważać zagadnienia mutacji, ale z braku specjalistów, ten kierunek dociekań nie doprowadził do niczego. Kolejne pomysły brano już wprost z science-fiction i włos od nich stawał na głowie. Do „łagodniejszych” należała na przykład koncepcja psychicznego przemieszczania się kotki w czasie (!), ale „tylko” z zaobserwowanym przez nas, około dziesięciominutowym zasięgiem. Inne pomysły były jeszcze bardziej zwiariowane...

Zawiesiliśmy więc zgodnie teorię i, jak na ludzi ze ścisłym wykształceniem przystało, postanowiliśmy skoncentrować się na empirii, a konkretnie - na wzmożonej obserwacji, połączonej z założeniem stosownego „dziennika wydarzeń”.

*Ciąg dalszy nastąpi*

# CO NOWEGO koteczko?

(dokończenie)

Napisała: Elwira Kott

Ilustrował: Julian Bohdanowicz

Już po tygodniu przekonaliśmy się, iż zachowanie się kotki można wykorzystywać praktycznie w celu zapobiegania poważniejszym uszkodzeniom.

Wskazała wówczas na perforator kart. Błyskawiczny jego przegląd (nawet Zbyszek był w szczytowej formie) wykazał, iż następuje przegrzewanie się jego jednostki sterującej na skutek zablokowania się wykrzywionego śmigielka wentylatora chłodzącego wewnątrz jednostki. Naprawa, sprowadzająca się do wygięcia kawałka blachy, zajęła kilka sekund; słowem – nic się nie stało. Trzeba było jednak wyraźnie stwierdzić, że gdyby nie kotka doszłoby zapewne do znacznie poważniejszej awarii, najprawdopodobniej spalenia się któregoś z podzespołów...

Od tej chwili kotka stała się pupilką działu technicznego. Nawet jeśli wskazywała tylko post factum miejsce uszkodzenia, to i tak bywało to często połową sukcesu; chociażby przy takich awariach, gdzie niby to system pracuje normalnie, a wyniki obliczeń są błędne. I w którym podzespole źle się dzieje? Trzeba szukać, testować, grzebać; często całymi godzinami... Jej pomoc bywała w takich wypadkach nieoceniona. Po jakimś czasie doszło nawet do tego, iż cały zespół Roberta więcej uwagi poświęcał zachowaniu się kotki, niż faktycznemu działaniu systemu, nawet jeśli prowadziło to, na skutek często podnoszonych fałszywych alarmów, do zwiększonego rzeczywistego interesowania się systemem.

Janusz, którego najlepsze lata młodości przypadały na okres szczególnej prosperity angielskiej muzyki rozrywkowej, zwykł zaczynać dzień pracy od pytania, będącego niegdyś tytułem przeboju Toma Jonesa: „Co nowego, koteczko?”...

Kolejne miesiące wniosły niewiele nowego. Owszem, zeszyt obserwacji – prowadzony aż do przesady skrupulatnie – wypełniał się stopniowo. Boże, jak skrupulatni byliśmy! Średnio co dziesięć minut ktoś dokonywał zapisu: „kotka śpi, jest za oknem, leży na kolanach, nie ma jej w zasięgu wzroku...”. I raz na kilka, kilkanaście stron coś związanego z awarią. Wszystko to w najmniejszym nawet stopniu nie wpłynęło na wyjaśnienie fenomenu. Były i nowe, przeróżne spekulacje, ale pogłębiały one tylko chaos pojęciowy.

I któż by mógł przypuścić, że ożywczy (w najgorszym sensie) impuls wiesie akurat Ewa, której wdzięki były odwrotnie proporcjonalne do intelektu? Ale to już była kwestia światopoglądu...

Tak, jak pracowało nas w Centrum czterdzieści kilka osób (zamiast zatwierdzonych etatowo siedemdziesięciu trzech), tak reprezentowaliśmy pełną gamę stosunku do bytu; od materialistów naukowych, poprzez materialistów mistycznych (Mariusz), aż do idealistów, głównie chrześcijańskich, ale nie tylko. Na przykład Ewa była reprezentantką mistycyzmu wschodniego. Joga, karma, Krishna, reinkarnacja, Rama, nirwana – opę-



dzaliśmy się przed tym, jak tylko umieliśmy. Ale i tak dosięgła nas...

- Już wiem! - krzyknęła któregoś dnia zza swojego pulpitu, podrywając nas wszystkich na nogi.

- A co ty w ogóle możesz wiedzieć? - uprzejmie spytał Łukasz.

- Wiem kim ona jest! - lekceważąc zupełnie sarkazm Łukasza, z lękiem spojrzała na śpiącą kotkę. - Popatrzcie tylko! Nawet leży w tym samym miejscu...

Kotka wygrzewała się akurat na swej ulubionej szafie zasilacza, emitującej lube ciepło.

- No to co? Zawsze tam leży.

- Witek! - wyszeptwała już tylko.

Witka z zasilaczem skojarzyliśmy natchemniast. I od razu przeszła nam ochota do żartów...

Witek był kierownikiem działu technicznego w okresie uruchamiania zakupionego systemu. I chociaż, jako wyśmienity znawca wszelkich systemów, był za-

deklarowanym przeciwnikiem zakupu właśnie tego, to stając przed faktem dokonanym, całą duszę włożył w jego uruchomienie. Przejmował się każdym drobiazgiem, zupełnie nie zważając na swe chore serce.

Nie wiadomo, jak stało się to naprawdę. Coś musiało być nie w porządku z zasilaczem i Witek, zamiast zacząć skontrolować go któremuś ze swoich podwładnych, sam chciał to zrobić. I czy to serce, czy udar elektryczny, czy też jedno i drugie - nigdy już się tego nie dowiemy. Pech, że był wówczas sam w sali systemu. Gdy znaleźliśmy go leżącego za szafą zasilacza, za późno było na jakąkolwiek reanimację. Dla wszystkich nas jest to tak bolesny rozdział historii naszego Centrum, iż nie wspominamy go częściej niż wypada. A teraz Ewa...

- Co kotka ma z tym wspólnego? - spytał ktoś głośno.

- Reinkarnacja - oznajmiła teatralnie



głośnym szeptem. – To dusza Witka się w nią wcieliła. On jeszcze teraz nam pomaga...

Zaniemówiliśmy. Fizycznie odczuwało się, jak każdy szuka najpierw epitetów wymierzonych w Ewę, później już tylko kontrargumentów, potem przebiega umysłem wszystkie wydarzenia i pogrąża się stopniowo... Prawie wszyscy, nawet najbardziej zatwardziali materialisci...

Muszę przyznać, że spodziewałem się, jeśli nie tego właśnie, to w każdym razie czegoś tego typu. Przecież jeśli zespół kilkudziesięciu, z wyższym przeważnie wykształceniem osób nie potrafi przez rok znaleźć sensownego wytłumaczenia – naturalnego zapewne – zjawiska, musi popaść w irracjonalizm. I trzeba będzie tylko detonatora...

Trzeba było wtedy ich słyszeć, w całej pełni gorliwości:

- Gdzie się pojawiła? Koło zasilacza!
- Lubi spać na nim!
- A jakie włosy miał Witek? Czarne z siwymi pasmami!
- Pamiętacie intuicję Witka w lokalizacji uszkodzeń?

Żadna sensowna, merytoryczna dyskusja nie była w stanie przełamać – przez aklamację niemal przyjętego – pomysłu Ewy, która z miejsca awansowała na arcykapłankę nowego kultu.

Im „sprawniej” kotka działała, tym bardziej utrwalała w umysłach jej ideę. Paradoxs: najbardziej ucierpiała na tym sama kotka. Nikt już nie śmiał wziąć jej na rękę, pogłaskać (przecież to tak, jakby Witka po głowie). Bez mała zaczęliśmy się jej bać...

I mogłoby to trwać wiecznie, gdyby nie ów krytyczny dzień. Dzień pierwszej od śmierci Witka awarii głównego zasilacza. Awaria taka oznacza totalny upadek systemu, kres jego pracy i konieczność zacychania w s z y s t k i e g o od początku. Zebrał się więc przed nim wszyscy obecni, niezależnie od swej kompetencji przy ewentualnej naprawie. Do niej było jednak daleko. Odstoniliśmy tylko pokrywę i gapiiliśmy się bezmyślnie na ogrom zniszczeń; spalone diody prostownicze, wielozwojowy transformator w podobnym stanie, reszta... Nie wiadomo od czego zacząć. Nie pomyśleliśmy jakoś o jednym: dopóki nie wyłączymy się tego z sieci, dopóty

na pierwotnych uzwojeniach transformatora panować będzie niezgorsze napięcie. Ale też nikt nie miał zamiaru dotykać niczegokolwiek...

Kotka zeskoczyła z okna wydając jakiś dziki odgłos. Przez kilka sekund biegła po całej sali, dotarła do nas i skoczyła w kierunku zasilacza...

W zasadzie, pierwszy kontakt z „żywą” elektrycznością powinien odrzucić ją odeń daleko; niestety, musiała trafić łapami akurat w odkryty blok transformatora i tam się jakoś zablokować na moment. Nikt z nas nie drgnął nawet, zbyt krótko to trwało. Dwie, trzy sekundy i pozostał tylko swąd palonej sierści oraz skurczone, zwęglone ciało...

Cisza...

Gdyby ktoś wspomniał w tym momencie Witka – z miejsca zostałyby zlinczowane. Za dużo już tego było. Ale gdzie tam rozmowy, nikt nie był w stanie wykrztusić słowa. Tylko oczy wytrzeszczaliśmy w niemym osłupieniu...

Jeden Zbyszek zachował jaką taką trzeźwość (!) umysłu, zapewne dlatego, iż ogólną percepcję przytępioną miał kolejną uroczystością rodzinną. Dopiero znacznie później uświadomiliśmy sobie, że właśnie jego kotka lubiła najbardziej z nas wszystkich, nie bez wzajemności zresztą. Wówczas zupełnie nie okazał tego. Poszedł po prostu do swego pokoju i zaczął grzebać za biurkiem, gdzie od lat gromadził cały bezużyteczny, na złom skazany chłam, pozostały po maszynach poprzednich generacji. Miał tam, bez mała, całe muzeum informatyki. Pogrzebał w nim i wydobył metalową obudowę „antycznego” wzmacniacza odczytu, mającą kształt typowej szuflady.

– Będzie w sam raz – oznajmił beznamiętnie. Nikt nie zaoponował.

Śledzony naszymi ogłupiałymi spojrzeniami zebrał do „szuflady” to, co pozostało z kotki, i spytał:

– Co teraz?

– Do parku chyba – szepnęła Lidka.

Dawny cmentarz sąsiadujący z Uniwersytetem został w ostatnich latach zagospodarowany, przerobiony na park, po czym wszedł jakoś w uniwersyteckie władze. Był to niezły nabytek – studenci spędzali tam nerwowe, przedegzamina-

cyjne godziny, pracownicy także mieli gdzie odetchnąć. I tam właśnie, na skraju parku, pod ograniczającym go murem, doszło do pamiętnego „pogrzebu”. Zakopaliśmy skrzynkę, rzuciliśmy kilka kwiatków, dziewczyny popłakały się... Bez zarzutu.

A później poszliśmy do Marka.

★

Do głosu doszedłem, gdy wszyscy mieli już dobrze w czubie. Czekałem zresztą na taki mniej więcej stan „umysłów”.

I wtedy powiedziałem wszystko – co wiedziałem, czego domyślałem się. Nie wiem, na ile to oddziało. Mogę tylko przypuszczać. Ale...

Cóż, każde zwierzę obdarzone jest innym, specyficznym dla swego gatunku zakresem percepcji. Najczęściej mamy o nim dość mętne wyobrażenie i wiemy tylko cokolwiek o różnicach pomiędzy naszą, a zwierzęcą zdolnością odbioru. Wiemy, na przykład, że pies słyszy drgania o znacznie wyższych częstotliwościach niż człowiek, że kot znacznie lepiej widzi w ciemności, że węch większości zwierząt jest o kilka rzędów wielkości czulszy niż nasz, że nietoperz „operuje” ultradźwiękami, i tak dalej. Ale o całokształcie świata zmysłowego zwierząt wiemy niewiele...

Nasza kotka? Uważam, iż tak jak inne koty miała tylko nieco lepszy słuch niż my. Bez żadnego zmysłu elektromagnetycznego! Ona tylko słuchała. A przecież każde z naszych urządzeń emituje pewne, tylko dla siebie specyficzne dźwięki. Nawet jednostka centralna, pozbawiona praktycznie ruchomych części mechanicznych, ma wewnętrzny głośnik sprzężony z którymś z jej rejestrów. On to właśnie emituje ogólnie znane „popiskiwanie” maszyny cyfrowej, zamieniane przez co bieglejszych programistów na cyfrową muzykę. Idiotyczny program zmusza maszynę do bezsensownych działań, ale przy okazji powoduje powstawanie w jej głośniku takiej sekwencji dźwięków, która układać się będzie w znany motyw muzyczny. Dla naszych – na przykład – gości, dla których procedura taka zakrawała wręcz na cud,

mieliśmy przygotowany program generujący „Dla Elizy” Beethovena.

Kotka słyszała wszystko, i to znacznie lepiej od nas. Z jej punktu widzenia, każde urządzenie pracując normalnie śpiewało (mrucało?) swoją „pieśń”. Awaria zaś łączyła się z jej zniekształceniem. I to ją denerwowało. Że wiedziała wcześniej? Jasne – już pierwsze objawy uszkodzenia, kiedy to z naszego punktu widzenia urządzenie pracowało jeszcze normalnie, wywoływały denerwujące ją zmiany. Ona to czuła i żądała od nas doprowadzenia całości do porządku.

Powyższa koncepcja, niewiele odbiegająca od pomysłu Janusza, miała jedną tylko zaletę. Nie wprowadzała żadnych dodatkowych założeń. I dlatego spotkała się z życzliwym przyjęciem. Tak jak się spodziewałem, uwierzyli w nią wszyscy.

Pozostały tylko dwa drobne szczegóły: jej pojawienie się i ewentualna korelacja z osobą Witka. Wyjaśnienie pierwszego jest trywialne...

To ja, przez nikogo nie podejrzewany, przyniosłem ją do Centrum. A było to tak, iż moja kotka urodziła trójkę pięknych, białoczarnych kociań. Moja żona, przejawiająca równie ambiwalentny stosunek do kotów, co i do mnie, kazała mi pozbyć się tego z domu natychmiast. Obieciałem wszystkim znajomym i jakoś tam upchnąłem dwójkę (rzecz jasna, żadne radykalne środki nawet nie przyszły mi do głowy). I tylko ona mi została...

Nie wymyśliłem nic lepszego, jak porzucenie jej u nas.

Natomiast wszelkie analogie z Witkiem uważam, dla psychicznego komfortu chociażby, za czysty przypadek. Bo gdybym miał przyjąć, iż rzeczywiście coś w tym jest, to już nigdy nie mógłbym pracować normalnie w swoim zawodzie. We wszystkim doszukiwałbym się złowieszczych znaków. Znacznie prościej jest stwierdzić, iż żadnego takiego związku w ogóle nie było. Lubiła zasilacz, bo tam było jej najcieplej. Jeżeli miała już zginąć w zetknięciu z prądem, to właśnie tam (inne podzespoły naszego systemu pracują pod niższym napięciem). I to wszystko.

Odczuwam jednak pewien niepokój. Nie wiem, po prostu nie wiem...